

KORFANTÓWKA

Jednodniówka Instytutu im. Wojciecha Korfanteo

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Katowice ul. Teatralna 4, WYDAWCA: Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfanteo

WYNIKI KONKURSU KORFANTASTIC !!!

I MIEJSCE
w kategorii plastycznej

KORFANTY W KOSMOSIE

Bartłomiej
Ogonowski



Województwo
Śląskie



INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO

Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha Korfanteo jest
instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego.



DNI
FANTASTYKI

MAGAZYN

BIAŁY KRUK



Lisiot Czyta

Skarbiec w siedzibie katowickiej Wojewódzkiej Rady Narodowej nie widział takiego zamieszania bodaj od czasów okupacji. Wokół ogromnego komputera krzatali się inżynierowie i konstruktorzy z wrocławskiego „ELWRO”, wojskowi a także ekipa zwerbowana do przetransportowania tajnego wynalazku.

– Rychtyk, truła – mruknął stojący w progu pułkownik Ziętek.

– Słucham? – dopytał inżynier Kiereś. – Że trumna?

„Jorg” skinął głową.

– Ja prosty człowiek – powiedział nie bez kokieterii. – Toto sztuczne, widzę, ale że inteligentne? Jak już podłączycie, będę mógł z tym... Z tym „Korfantym” pogadać?

– Niezupełnie. – Kiereś podrapał się po głowie. – Przez dalekopis wprowadzane są do „Korfantego” informacje. W pamięci ma on cały dorobek Wojciecha Korfantego na piśmie, nawet stenogramy z procesu brzeskiego, dodatkowo cały czas wprowadzamy uaktualnione dane o sytuacji społeczno-politycznej w Polsce, szczególnie w Katowicach. Na podstawie tych danych komputer może odpowiedzieć na jakieś pytanie, udzielić rady, coś zasugerować. Też przez dalekopis, szyfrem na perforowanej taśmie albo w druku. W tym sensie jest to rozmowa.

– W pamięci?! – zawołał Ziętek z niedowierzaniem. – To pudło na nieboszczyka coś pamięta?!

Obudowa komputera rzeczywiście przypominała wielką trumnę; nikt na etapie projektowania nie zwrócił na to uwagi i tak zostało. We Wrocławskich Zakładach Elektronicznych w ramach ściśle tajnego projektu wykonano trzy tego typu maszyny. Jedna z nich – komputer „Korfanty” – trafiła do Katowic, w otoczenie byłego wojewody i wicewojewody śląskiego Jerzego Ziętka, obecnie w randze przewodniczącego prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Inżynier Kiereś już otwierał usta, gotowy do zasypania Ziętka kolejnymi szczegółami wynalazku, ale ten machnął ręką i ruszył w kierunku wyjścia ze skarbcza.

– Resztę przekażecie mojemu człowiekowi! – zawołał na odchodnym. – Ja nie mam głowy do gadających maszynek!

Oficer dyżurny kolejny raz przewinął taśmę z podsłuchu zamontowane-

go w sypialni Jerzego Ziętka. I jeszcze raz. Nie przesłyszał się. „Jorg” w przerwach między chrapaniem mamrotał całkiem wyraźnie. Esbek zdjął słuchawki i przełączył szpulowy magnetofon na głośnik. Popłynął głos Ziętka:

– Pierona! Byda godoł z Korfantym...

Inżynier Kiereś otrzymał zaszyfrowane potwierdzenie, że z wąsatym brunetem może rozmawiać bez obaw. Mężczyzna nie przedstawił się, ale miał być jednym z najbliższych współpracowników Ziętka. Do konwersacji z Kieresiem był przygotowany aż za dobrze.

– Dlaczego „Korfanty” a nie „Piłsudski”? – spytał bez ogródek człowiek „Jorga”.

Inżynier zawahał się przez moment, zaskoczony, że rozmówca wie o innym tajnym komputerze. Wyczulony na ewentualną prowokację zagrał na zwłokę.

– Marszałkowi ze Śląskiem to tak chyba średnio było po drodze? – odpowiedział pytaniem.

– Powiedzmy... A jak wam powiem, że pułkownik Ziętek to jest były sanacyjny cwaniak? Poseł z BBWR-u, przed wojną rządził Radzionkowem. Sroce spod ogona nie wypadł.

– O tym mi nie wspomniano. – Kiereś spąsował. – Jestem matematykiem a nie historykiem. Komputer „Piłsudski” przejął Gomułka. Po pierwszej, nazwijmy to, rozmowie z maszyną, kazał ją ukryć nie wiadomo gdzie. Mamy nadzieję, że nie zarządził jej zniszczenia.

Brunet pokiwał głową.

– Towarzysz „Wiesław” miewa głupie pomysły – rzucił z przekąsem. – Trzecia maszyna trafiła do Bolesława Piaseckiego?

– Tak. „Dmowski” przypadł PAX-owi. Piasecki spodziewał się sążnistych analiz, wskazówek czysto politycznych, może nawet rad jak przejąć władzę w Polsce Ludowej, ale...

Rozmówca inżyniera zastrzygł uszami.

– Ale komputer wygenerował tylko porady z zakresu kultury i gospodarki – dopowiedział Kiereś. – Zasugerował walkę o zwiększone limity nakładów, zintensyfikowanie wydawania zagranicznych pisarzy, zwłaszcza katolickich, i... Opatentowanie i produkcję płynu do mycia naczyń. Słyszeliście o ludwiku?

– Tak, czternastym...

– O tym, o którym mówię, na pewno usłyszycie jeszcze w tym roku.

Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa odpowiedzialny za podsłuch u Ziętka dla odmiany wisiał na słuchawce zwykłego telefonu.

– Tak. Tak, oczywiście – przytakiwał przełożonemu. – Cokolwiek powie o Korfantym, wszystko niszczyć. Tak... Wszystko. Tak jest, towarzyszu kapitanie!

Podpięty do „Korfantego” dalekopis też był tajnym prototypem przygotowywanym dla MSW. Na bieżąco dekodował oparte o szyfr Vernana odpowiedzi komputera na zadane przez Jerzego Ziętka pytanie. „Jorg” nie wysiłał się zbyttnio i zagrał z maszyną po leninowsku, to znaczy zapytał „co robić”?

Kiereś przeklinał w myślach mimowolne drżenie rąk, ale obsługa dwóch wynalazków naraz oraz obecność włodarza województwa podnieciły go zupełnie niezdrowo. Podał wąsatemu brunetowi zadrukowaną kartkę. Ziętek siedział przy biurku, kręcąc kciukami swoje słynne „młynki”. W końcu przestał i zacisnął dłonie na lasce.

– Czytajcie, czytajcie – zachęcił współpracownika.

– Zaprojektować i wybudować wielki park wypoczynkowy dla mieszkańców – powoli przeczytał brunet.

– Trzynasty rok buduję, psiakrew! – „Jorg”zatrząsł się ze złości. – Co to jest? Co to za dobra rada?!

– Widocznie nie wprowadzono danych o tym parku. – Kiereś bezradnie rozłożył ręce.

– Doprowadzić do powstania uniwersytetu w Katowicach – czytał dalej wąsał.

– Jak krakusy z Uju pozwolą to od razu – mruknął Ziętek. – Dalej...

– W związku z chorobami wywołanymi przez pracę w kopalniach i zanieczyszczenie środowiska, stworzyć kompleks sanatoriów i uzdrowisk.

– To jest dobre! Bo mi tu wszyscy cherlają jakby płuca mieli wypluć... Coś jeszcze?

– Wybudować taką halę sportową, żeby całej Polsce mowę odjęło.

Trzem mężczyznom przy „trumnie” też mowę odjęło. Pierwszy odezwał się „Jorg”:

– Coś się wymyśli...

Po czym wstał i wyszedł.

– Pewnie tak jak Piasecki myślał, że „Korfanty” udzieli mu wskazówek czysto politycznych. – Brunet wzruszył ramionami. – Jak wykończyć Decymbra na przykład...

– Kogo?

– Zdziśka Grudnia. Nieważne... Ale te sztuczne inteligencje są chyba inteligentniejsze niż nam się wydaje, nie sądzi pan?

Inżynier Kiereś skinął głową.

– Jakby ignorowały, że była wojna, że czasy się zmieniły, że ludzie nie ci sami – kontynuował brunet. – Przecież każdy z tych komputerów mógłby wydrukować kartkę z jednym zdaniem: „pogonić komunistów”.

– Tylko to wie pan bez żadnego komputera, prawda? – Kiereś za późno ugryzł się w język, więc brnął dalej. – Ja też to wiem...

Niecałe sześć lat po pierwszej rozmowie Jerzego Ziętka z „Korfantym”, do gabinetu „Jorga” wkroczył z obstawą świeżo upieczony pierwszy sekretarz Edward Gierek.

– Przejmujemy „Korfantego”! – zakomunikował bez zbędnych wstępów. – No to jak, towarzyszu, pomożecie?

Kiedy Jerzy Giedroyc mówił, że Polską rządzą trumny Piłsudskiego i Dmowskiego, być może wiedział więcej, niż nam się wydaje. Ale najwyraźniej nie wszystko. Mógł nie wiedzieć o trzeciej maszynie. Gdzie są dzisiaj są owe „trumny” z tak ogromnym wysiłkiem skonstruowane we Wrocławiu? Gdzie ich współczesne odpowiedniki? Wielkości bombonierki, pudełka zapalek, paznokcia bądź będące już nanokomputerami.

Podobno wszystkie trzy komputery zamilkły w piewszej połowie lat siedemdziesiątych niczym lemowski GOLEM XIV. Nie miały już nic do powiedzenia. Ale to tylko „podobno”. Równie dobrze mogły przerwać milczenie i wciąż doradzać, skoro rządzą Polską.

Jest w Katowicach
Instytut Korfantego.
Gdyby tam poszukać
„trzeciej trumny” ...?

II MIEJSCE
w kategorii plastycznej

KORFANTY I GOLIAT

Jerzy Wolf



Breslau, 31 października 1900 roku

– No, chopy! To jademy z tym!
– krzyknął Kostek Wolny i odliczył
w świetle lampy naftowej na palcach
do trzech.

– Ciemno wszędzie, głucho wszę-
dzie! Co to będzie, co to będzie? – za-
intonował wesoło na umówiony sy-
gnał chór młodych męskich głosów.

Wojciech czuł, że to nie jest do-
bry pomysł już wtedy, gdy w pokoiku
pensjonatu przy Neue Junkerstrasse¹,
zauroczony wykładem profesora Neh-
ringa i odegranym na zajęciach z po-
działem na rolę fragmentem drugiej
części *Dziadów* Mickiewicza, Kuba
Kowalczyk przedstawił pomysł od-
prawienia podobnych guseł na cmen-
tarzu miejscowej gminy żydowskiej.
W języku polskim naturalnie, co było
argumentem ostatecznym, który prze-
konał Korfatego do nocnej wizyty za
murem kirkutu przy Lohe Strasse².

Po przekupieniu stróża flasz-
ką przedniego wina musującego od
Grepela, które sam zainteresowany
spożył na miejscu, stali we trzech i po-
hukiwali mickiewiczowskie inkantacje
w świetle bladego jesiennego księżyca
przed przypadkowymi grobowcami
i macewami. W końcu znudzeni Kor-
fanty i Wolny zaczęli mamrotać, że
zimno, ciemno i w ogóle do powietrza
przygoda.

– Poczekajcie, spróbujcie jeszcze raz.
Kowalczyk wziął kawałek konopnego
sznurka i podpałił go z sykiem. – Dalej
wy z najcięższym duchem! Coście do
tego padołu przykuci zbrodni łańcu-
chem... – kontynuował uparcie, pod-
nosząc teatralnie głos.

– Zamknij pan mordę! Tu ludzie
śpią! – wrzasnął chrapliwie ktoś po
niemiecku

Obrócili się przerażeni w kierun-
ku, z którego dobiegł ich krzyk. Po
drugiej stronie alejki stał mężczyzna
oświetlony snopem księżycowego
światła, jakby ktoś skierował na niego
teatralny reflektor. Z białej jak papier,
niegdyś z pewnością śniadej, twarzy
spoglądały na nich wylupiające blade
oczy umieszczone pod wysokim czo-
łem okolonym rzadziejczącą czupryną,
z której sywały się ostatnie jesienne li-
ście. W białej koszuli wywleczonej ze
spodni widoczny był w okolicy pod-
brzusza poszarpany otwór, od którego
odchodziły pasma zaschniętej krwi.

– Pierona! Wywołali my ducha! –
wrzasnął Wolny.

– Raczej ocucili my jakiegoś ożyro-
ka – zachichotał Kowalczyk.

– *Usingern*³? – zapytał zaskoczony
mężczyzna.

– Ja – wtrącił się Korfanty. – Kim
pan jest i co tu robi? – zapytał po nie-
miecku.

– Ferdinand Lasalle, do usług. Leżę
o tu. – Wskazał za siebie, a światło
księżyca oświetliło napis *Familie Las-
sal* wykuty tuż nad fizys łudząco przy-
pominającą twarz zjawy.

– Raczysz pan sobie z nas dworo-
wać – sarknął Wolny.

– Mój patron podpowiada mi, że
tylko z jednym z panów mogę rozm-
wiać. – Wycelował palec w Korfante-
go. – Ładny masz pan *Kiepe*⁴.

– Jaki patron? Nikogo poza nami
tutaj nie ma – fuknął Wojciech.

– Jest nas tu wielu. Ale patron tyl-
ko jeden. – Błady jegomość powoli
przesunął dłoń po piersi, jakby chciał
złapać się z lewe ramię. Na jego barku
Korfanty dostrzegł suche czarne palce,
które wydawały wylewać się z mroku
otulającego wyblakłą postać Lasalle’a.
Wszyscy trzej cofnęli się o krok.

– Jesteś pan Prusak, socjalista
i przebieraniec! Skończ pan tę farsę! –
ryknął Korfanty.

– Pan mi się nie przedstawił, pa-
nie... – Lasalle zawiesił głos i pochy-
lił głowę w kierunku majaczącego za
nim cienia. – Korfanty. Pan wiesz,
że czeskie *kornýfel*, od którego wzię-
ło się pańskie miano, oznacza diabła
rogatego? – zachichotał, Wojciech
zbladł, a przyszyty blond wąsik
nad jego ustami nastroszył się mimo-
wolnie. – A co do Prus, to – jak pan
łaskawy zapewne czytał – *wielkie wię-
zienie pełne ludzi, rządzone przez ty-
ranów*. Ja siedziałem za mój stosunek
do Bismarcka, pan co najwyżej... – Za
jego plecami zakrakał kruk i rozległ
się szept. – Ach, tak. Wyleciał pan ze
szkoły. Ale proszę się nie przejmować.
Mój patron twierdzi, że jeszcze się pan
nasiedzi.

– Przekłęte szwaby – wymamrotał
Korfanty.

– O, nie tylko oni. Mój patron
twierdzi – wskazał palcem na cień – że
ojczyzna także się panu odwdzięczy.

– Uśmiechnął się smutno. Przys-
tał dłoń do ucha i pokiwał głową. –
Ale w walce o nią znajdziesz pan przy-
jaciół. Musisz pan tylko do nich trafić,
a z tego, co słyszę, nieźle pan władasz
piórem, więc zrób pan z niego użytek.

– Niby jaki?

– Odezwy! Prasa! Przemówienia!
Mieście Towarzystwo Akademików
Górnoślazaków na naszej *Alma Ma-
ter*. I co? *Kaputt!* A wy szwendacie się
po kirkucie! Lud potrzebuje słowa,
motywacji i przewodnika, aby zyskać
to o co walczy! – Uniósł dłoń i pero-
rował w niebo.

**A POLSKA POTRZEBUJE
ŚLĄSKA! CAŁEGO! –
PRZERWAŁ MU
WOJCIECH,
PODPIERAJĄC SIĘ
POD BOKI.**

– To walcz pan o niego. Tylko uni-
kaj pojedynków, krew jest tutaj zbęd-
na. – Wsadził palec w dziurę w koszuli
i znów nastawił ucha otulonego mro-
kiem. – Jak się uda, to może nawet
pewien znamienity Francuz pomoże
waszej sprawie.

– Francuz? – wycharczał niespo-
dziewanie starczy głos kilka macew
dalej. – Przekłęte zabójady nie mogą
być niczymi przyjaciółmi! – Maja-
czący w księżycowej poświacie starzec
poprawił na nosie druciane binokle
i zaczął wyciągać liście z siwej brody.

– Panowie wybaczą mojemu przy-
jacielowi w niedoli, twórcy wrocław-
skiej szkoły botanicznej, profesorowi
Cohnowi – rzekł Lasalle nieco stra-
piony, a cień zza jego pleców uleciał
i przysiadł na ramieniu uczonego.

– Nie ma czego wybaczać, Ferdy-
nandzie, a pan, panie Korfanty do-
stanie od nas jeszcze jedną radę. Jak
już pan będzie siedział, to poza wię-
ziennym mrokiem, który będzie mia-
dzył pańską duszę, wystrzegaj się pan
tritlenku diarsenu. A teraz żegnam –
chrząknął, a cień rozlał się na oba wid-
ma, zalewając je czernią.

Zawiał wiatr, rozkrakały się czar-
ne ptaszyska, a suche liście wypełniły
przestrzeń i na alejce kirkutu pozo-
stało tylko trzech przerażonych mło-
dzieńców.

– Duszo przeklęta czy błoga, opusz-
czaj święte obrzędy! Oto roztwarta
podłoga, kędy wszedłeś, wychodź tędy
– szepnął Wolny, przeżegnał się i ze-
mdlał.

Bytom, 3 maja 1921 roku

– Nie rozumiem, Adi, dlaczego
opowiadasz mi historię sprzed dwóch
dekad, ale wygląda na to, że ktoś na
kirkucie w cesarskim Breslau przepo-
wiedział ci naszą znajomość – rzekł
generał Le Rond i uniósł w górę pę-
katy kieliszek bursztynowego płynu.
– Ba, rzekłbym przyjaźń. Za linię Kor-
fatego – wypił trunek jednym hau-
stem i westchnął błogo.

– Za linię Le Ronda. I obym więcej
nie siedział. – Korfanty wlał w siebie
koniak i skrzywił się pod wąsem.

– A ostatnia rada? – zapytał Fran-
cuz.

– Żaden z nas nie był chemikiem,
a przygoda była zbyt wstrząsająca, aby
zapamiętać niemieckie słowa widma.
– Podrapał się po głowie. – Jakiś tle-
nek, jakiś arsen...

– Tritlenek diarsenu? – przerwał
mu Le Rond, a Korfantomu rozbły-
sły oczy. – Poznałem Louisa Pasteura,
wielkiego rywala Cohna. Po kilku kie-
liskach koniak ostrzegał o modnym
swego czasu toniku Fowlera. – Napeł-
nił ponownie kieliszki opalizującym
płynem.

– Dlaczego?

– Bo jest robiony na bazie tritlen-
ku diarsenu. – Spojrzał przyjacielowi
w oczy. – To arsenik.

Korfanty splukał grudę wyrosłą
w jego gardle koniakiem i wyjrzał
w noc przez okno hotelu Lomnitz. Ze-
gar zabił żałośnie dwa razy, a w tle,
gdzieś ponad dachami kamienic po-
jawił się błysk, po którym nastąpił
huk. Zaczęło się, choć *wawelberczycy*
zdążyli potajemnie zniszczyć wiele
mostów już trzy godziny wcześniej.
W oddali ruszyły pociąg pancerny
i wóz bojowy ochrzczone jego na-
zwiskiem. O bytomski bruk uderzyły
bojowe okrzyki. Za oknem stał Lasal-
le i wiercił palcem w dziurze po kuli.
A przecież tak bardzo starał się przez
całe dotychczasowe życie unikać po-
jedynków.

1 Obecnie ul. Jana Kilińskiego.

2 Obecnie ul. Ślężna.

3 Popularne określenie Ślązaków w przedwojennej gwarze wrocławskiej.

4 Kapelusznik w przedwojennej gwarze wrocławskiej.

III MIEJSCE
w kategorii plastycznej

POWSTANIE ŚLĄSKIE W KOSMOSIE

Lisioł



III MIEJSCE w kategorii literackiej Dominika Panaszek

MIŁOŚĆ POŚRÓD WYMIARÓW. Opowieść o Wojciechu Korfantom i Elżbiecie Szprotównie

Wojciech Korfanty, stojąc przed gmachem kościoła przy ul. Józefa Kwietniewskiego 1, zastanawiał się co mogłaby mu pomóc mu w rozwiązaniu problemów z zaślubinami, które stanęły pod znakiem zapytania. Nagle, na jednej z ceglanych elewacji pojawiła się nikle wyglądająca szczelina...

1 lipca 1903 roku, w kościele Świętej Trójcy, miała odbyć się uroczystość ślubna. Jednakże proboszcz Reinhold Schirmeisen postawił warunek: ślub mógł zostać udzielony tylko wtedy, gdyby Korfanty przeprosił niemieckich księży, którzy odmawiali Polakom rozgrzeszenia za czytanie pro-polskiej prasy. Mimo że sytuacja była trudna, Korfanty stanął na stanowisku, odmawiając przeprosin. Dla niego była to sprawa zasad i honoru, a niegodziwe praktyki proniemieckich duchownych, których odrzucał, nie mogły być tolerowane. Jego postawa była wyrazem silnej tożsamości narodowej i walki o prawa Polaków na tych ziemiach. Choć jego decyzja mogła spotkać się z krytyką czy niezrozumieniem, Korfanty pozostał niezłomny w swoich przekonaniach.

Myśli Korfatego ciągle krążyły wokół problemu. Kochał Elżbietę i chciał sformalizować związek. Jednocześnie ciągle przyglądając się tajemniczym wrotom.

– Może warto zaryzykować - pomyślał, wchodząc do „pomieszczenia”, które okazało się być czymś w rodzaju kabiny. Nacisnął widniejący na wprost czerwony przycisk. Winda zaskrzeczała i zaskrzypiała, jakby budząc się ze snu i nagle ruszyła w górę, unosząc go w nieznane. Korfanty, choć początkowo niepewny, wraz z każdym pokonanym metrem zaczynał czuć się coraz bardziej podekscytowany. Gdy wreszcie drzwi kabiny otworzyły się, przed nim ukazał się zupełnie nowy świat.

Wszystko wokół wyglądało jakby czas się zatrzymał. Niepokój, który wcześniej go ogarniał, ustąpił miejsca ciekawości i fascynacji tym nieznanym miejscem.

Zaczął się rozpryskiwać światło, a Korfanty usłyszał głos, który brzmiał jak szept wiatru

– Witaj, Wojciechu Korfanty. Jesteś Strażnikiem Czasu. Przyprowadzono cię tutaj, ponieważ twój los jest kluczowy dla przyszłości. Wkrótce będziesz musiał podjąć decyzję, która zadecyduje o Twoim losie. Twoja walka o ślub z Elżbietą przekracza granice czasu i przestrzeni.

Zaskoczony, lecz jednocześnie pełen determinacji, Korfanty przyjął tę nową rzeczywistość. Wiedział, że nawet jeśli znajduje się w nieznanych mu okolicznościach, to walczy o wartości, które są uniwersalne i niezmiennie. Zdecydowany stawić czoła wyzwaniom, gotowy na wszystko, co los mu przyniesie.

Pierwszym przystankiem był wymiar, gdzie czas zdawał się zatrzymać. Wojciech stanął w opustoszałym kościele, odczuwając na skórze chłód wiekowych kamieni. Przed nim ukazała się postać proboszcza, któremu odmówił przeprosin, a sam zajął miejsce przed ołtarzem. Zastygł jak skała, wsłuchując się w rozmowę, która ciągle powracała w jego myślach.

WOJCIECHU, CZY JESTEŚ GOTOWY ZMIERZYĆ SIĘ Z WYBOREM, KTÓRY PRZED TOBĄ POSTAWIŁEM?

– zapytał proboszcz, patrząc na niego z surowością.

– Jestem gotowy, nie ugnę się przed niesprawiedliwością!- odpowiedział Wojciech stanowczo, czując w sobie iskrę determinacji. Jego słowa wypełnione były mocą, która odbijała się echem w pustych przestrzeniach kościoła. Wiedział, że choć przed nim stoi trudna decyzja, to nie zawaha się w swoich przekonaniach.

Proboszcz spojrzał na niego z uznaniem.

– Twoja postawa jest godna podziwu, Wojciechu. Teraz czas na wybór. Czy pozostaniesz przy swoim stanowisku, czy też otworzysz się na pojednanie?- zapytał, podchodząc bliżej.

Wojciech wzruszył ramionami, niezłomny w swoim przekonaniu.

– Nie mogę odstąpić od swoich wartości. Jestem gotów ponieść konsekwencje mojej decyzji, choćby były trudne - oznajmił, patrząc proboszczowi prosto w oczy.

Proboszcz skinął głową, akceptując jego stanowisko.

– Rozumiem, Wojciechu. Niechaj więc tak będzie. Twój los jest teraz w twoich rękach- powiedział spokojnie,

nie, po czym zniknął, pozostawiając Wojciecha z samym sobą, gotowego stawić czoła kolejnym wyzwaniom, które czekały na niego w tej niezwykłej podróży przez czas i przestrzeń.

Postacie powoli zaczęły się rozmywać, a przed Wojciechem ponownie pojawiły się wrota, w których stał już Strażnik Czasu. Wsiadł do windy i ruszył w podróż do kolejnego wymiaru.

Następny przystanek zabrał go w czasy niedalekiej przyszłości. W tej alternatywnej rzeczywistości Korfanty postanowił opuścić kraj wraz z Elżbietą, szukając możliwości sformalizowania ich uczuć. Przed oczami przewinęły mu się obrazy burzliwej podróży przez nieznane ziemie, gdzie trzymali się za ręce, wzajemnie wspierając się i patrząc sobie w oczy z niezłomnym zaufaniem. Ich wspólna determinacja była jak jasny punkt w mroku niepewności tamtych czasów. Ostatecznie, Wojciech wraz z Elżbietą podjęli decyzję o opuszczeniu kraju, kierując się do Krakowa. Tam, po spełnieniu wymogu sześciu tygodni pobytu w monarchii Habsburgów, 5 października 1903 roku, w kościele pw. św. Krzyża, zawarli związek małżeński. To wydarzenie odbyło się przy pełnym poparciu kleru krakowskiego, co było niezwykle ważne dla Wojciecha, który znalazł w tym momencie stabilność i akceptację.

Korfanty nie umiał pozbierać myśli. Właśnie przed Nim rozgrywała się scena, która była doskonałym rozwiązaniem Jego problemu!

Uradowany wskoczył do windy z nadzieją, że wróci do swojego wymiaru i tak szybko jak to możliwe podzieli się tą radosną nowiną z Elżbietą.

Niestety Strażnik Czasu miał dla Niego jeszcze jedną „niespodziankę”.

Następne piętro przeniosło go do dalszej przyszłości- chwili, gdy urodziło się Jego pierwsze dziecko. Wojciech poczuł równocześnie radość i przerażenie. Stojąc w tamtej chwili, dostrzegał w oczach Elżbiety mieszankę emocji: nieopisaną miłość do nowonarodzonego dziecka, ale także obawę przed odpowiedzialnością i niepewność co do przyszłości. To zdecydowanie czas trudnych wyborów i jeszcze trudniejszych decyzji, które musiał podjąć jako mąż i ojciec.

Przeżywając kolejne wizje życia swej rodziny, Wojciech dostrzegał różnorodne emocje - od radości na rodzin dzieci po smutek opuszczania

bliskich miejsc. Te doświadczenia były dla nich jak dzieła sztuki, malowane barwnymi pigmentami wspólnego życia. Przyszłe trudne decyzje będą wyzwaniem, ale również umocnią więź z Elżbietą i dziećmi, definiując sens ich codziennych wysiłków.

Ostatecznie, winda zatrzymała się, a Wojciech znalazł się z powrotem w holu Urzędu Marszałkowskiego. Oddychał głęboko, czując w sobie nową siłę i determinację, której wcześniej nie doświadczył. Ta podróż przez przeszłość i przyszłość oraz doświadczenia zainspirowały go do refleksji nad siłą miłości i odwagi, które wspólnie z Elżbietą pokonywać będą przez lata.

– Wróciłeś! – usłyszał za sobą głos Elżbiety, która stała u jego boku, patrząc na niego z miłością i zrozumieniem, które były dla niego jak najjaśniejszy promień w ciemności.

– Tak, wróciłem – odpowiedział uśmiechając się do niej, trzymając jej dłoń w swojej.

– I teraz wiem, że razem z tobą mogę pokonać wszystkie trudności, jakie nam przyszło wspólnie stawić.

Elżbieta przytuliła się do niego, czując w sercu głęboką radość i pewność, że dzięki swojej miłości mogą stawić czoła wszystkiemu, co przyniesie im przyszłość. Wiedzieli już, że choć przed nimi mogą być trudne czasy, to mają siebie nawzajem - największe wsparcie i siłę, jakiej potrzebowali, by przetrwać wszystko, co na nich czeka.



Magazyn Biały Kruk
Nr 1 Specjalny 2024 – Numer redakcyjny

IV MIEJSCE w kategorii literackiej

ŻYWY TRUP

Patrycja Paliczka

Mężczyzna przez kilka sekund stał niczym wrośnięty w ziemię, po czym bez czucia upadł na podłogę.

Bez słowa przyglądała się temu sekretarka, która jakiś czas temu przestała udawać, że pisze na maszynie i z papierosem wetkniętym w mocno zaciśnięte usta obserwowała rozwój całej sytuacji.

Korfanty wyszedł. Jak zwykle, kiedy był potrzebny. Jego zastępca zaś w ogóle nie panował nad sytuacją. Zastrzelił przyprowadzonego do gabinetu szefa szpiega, zamiast wpierw go przesłuchać i wyciągnąć z niego wszystkie przydatne informacje.

Oczywiście, sekretarka, którą niewtajemniczeni w sprawy dowódcy nazywali panią Halinką, wiedziała, czemu do tego doszło. Jeśli ktoś spytałby ją o zdanie, ona też uznałaby, że mężczyzna, który przed nią stał z pewnością postradał zmysły. Nikt zdrowy na umyśle nie mógłby opowiadać o takich rzeczach. Ona wysłuchałaby go do końca i ostrożnie rozważyła wszystkie „za” i „przeciw”, nim zdecydowałaby się go zastrzelić. Zastępca Korfanteo szybciej strzelał, niż myślał. Chciał się wykazać, choć wybrał moment najgorszy z możliwych.

Pani Halinka nawet nie chciała myśleć, co o tym wszystkim powie szef, gdy tylko wróci. Jan upuścił broń i zaczął mocno trzeć zmęczoną twarz, mamrocząc coś do samego siebie. Nerwowe kroki, a potem szybkie pukanie, które rozległo się tuż za drzwiami, przerwało całą tę maskaradę. Zastępca na chwilę zastygł bez ruchu, potem nerwowo poprawił zwisający na szyi krawat i próbując nadać swemu głosowi normalne brzmienie, rzucił:

– Czy umówiła pani kogoś do szefa na spotkanie?

Pani Halinka zajrzała do papierów, choć sama twierdziła, że miała doskonałą pamięć. Ba, szczyciła się nią niemal w każdej chwili. Widać i ona była zdenerwowana całą tą sytuacją.

– Nie, nikogo – szepnęła, jakby oboje właśnie ukryli się w ciemnym kącie i udawali, że ich nie ma.

– Nikogo się w tej chwili nie spodziewam. – Zastępca postarał się, by jego głos zabrzmiał wyjątkowo gniewnie. Tylko w ten sposób mógł odstraszyć potencjalnego intruza, który przybył w najmniej odpowiedniej chwili. – Kto próbuje mnie w ten bezczelny sposób odciągnąć od obowiązków?! Oby miał wyjątkowo dobry powód do składania wizyty...

– Panie Janie – zza drzwi rozległ się cienki i wyjątkowo wystraszone głos należący do jednego z najmłodszych adiutantów. – To niecierpiąca zwłoki sprawa!

– Nowak, czy nie kazałem ci... - rzucił zdenerwowany Jan Stapiński, gorączkowo zastanawiając się jednocześnie, gdzie mógłby wysłać swojego adiutanta, aby się go pozbyć na dość długi czas, by zdecydować, co zrobić z ciałem. Szpieg leżał martwy u jego stóp, a adiutant stał za drzwiami, ściągając na siebie niepotrzebną uwagę żołnierzy.

– Jak najszybciej trzeba mu dać coś do roboty – syknęła pani Halinka przez zaciśnięte zęby, nie próbując nawet udawać uprzejmej wobec zastępcy swojego szefa – a tych gapiów się pozbyć. Przypominasz mi, drogi chłopcze, mojego dziesiątego wnuka, też był w gorącej wodzie kąpany i nic dobrego z tego nie wynikło – mruknęła pod nosem.

Jan Stapiński obruszył się zarówno na posadzenie go o „drogiego”, jak i „chłopca”, wiedząc jednak, że teraz nic w tej batalii na słowa nie wskóra, skupił się na tym, co najważniejsze. Pani Halince udało się już wygrać nie jedną bitwę i gdyby to ona była dowódcą pierwszego powstania, kolejne nie miałyby prawa już wybuchnąć.

– Andrzeju, mój drogi, czy coś się stało? – zapytał słodkim głosem, który nie umknął uwagi pani Halinki.

– Sz... szpieg, sir!

– Zajmę się tą sprawą – uspokoił adiutanta. - Andrzeju, czy mógłbyś dostarczyć mi do gabinetu kilka rzeczy?

– Oczywiście, sir! – Adiutant dziarsko zsalutował, choć drzwi w dalszym ciągu pozostały zamknięte i nikt nie mógł go usłyszeć ani zobaczyć. – Zrobię wszystko, co pan każe, sir!

– Oto lista – mruknął Jan Stapiński, wręczając listę stojącej pod drzwiami pani Halince. Wcześniej usiadł za ogromnym dębowym biurkiem i starannie ją spisał, kilka razy odrywając pióro od papieru, w celu głębszego zastanowienia. – Proszę mu to przekazać i upewnić się, że wszystko dokładnie zrozumiał.

– Jakim cudem, proszę pana? – Zapytała pani Halinka, poprawiając zsuwające się z jej nosa okulary i przybierając wyjątkowo wojowniczą pozę – Jak ja sama niewiele z tego wszystkiego rozumiem – poskarżyła się.

Kiedy kilka minut później, gdy pani Halinka wróciła już do gabinetu, Stapiński oparty o biurko otarł pot z czoła, z rezygnacją stwierdzając, że już gorzej na pewno być nie może, stało się coś odwrotnego. Zastrzelony mężczyzna oprzytomniał i usiadł na ziemi, rozglądając się ciekawie dookoła.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego.

– Jak to się mogło stać?! – Zapytał Stapiński, rwąc sobie włosy z głowy. – Nie tak dawno go zastrzeliłem, a on nie tylko całkowicie oprzytomniał, ale wykorzystując powstałe przy drzwiach zamieszanie, po prostu wstał i wyszedł.

– Kto wstał i wyszedł? – powtórzył niczym echo zdyszany adiutant, trzymając w rękach część rzeczy, które znajdowały się na sporządzonej przez Jana liście.

– Nikt ważny – odruchowo odparł Jan, głęboko wzdychając, by trochę się uspokoić.

– Cóż, jeśli to nikt ważny, to może nie należy tak się tym martwić – podsunął adiutant Andrzej Nowak, który ze wszystkich sił chciał się wykazać i być pomocny. Niestety, wyjątkowo źle tym razem trafił.

„Niech ja cię tylko...” Jan nie przebierał w słowach we własnych myślach.

– Szefie! – Sekretarka przejęła panowanie nad sytuacją. – Adiutant Nowak, za pana zgodą, mógłby sprawdzić, czy nikt nie wychodził ani wchodził na teren bazy.

– Dobry pomysł. Niech idzie i to sprawdzi – powiedział Jan Stapiński, ukrywając twarz w dłoniach. – I melduje o każdym odstępstwie od normy.

– Tak jest, sir! Dziękuję za zaufanie, jakim mnie pan obdarzył, sir, powierając mi tak ważną misję. Chciałbym zauważyć, że wszystkie moje działania prowadzą się do wzbudzenia w panu odpowiedniej dozy zaufania i...

– Tak, tak, tak. Idź już. – Jan głęboko westchnął:

– Nie zostawiaj mnie z nim sam na sam. To się może dla niego fatalnie skończyć!

– Nigdy nikomu nie wspominaj o wydarzeniach dnia dzisiejszego.

– Jan pogroził palcem sekretarce. – Mamy dziesięć żywych trupów, które wywołały istny popłoch wśród żołnierzy, głównie, dlatego że nie dało się ich porządnie zastrzelić. Jednego patologa, który z zamiłowania był alchemikiem i eksperymentował przy zwłokach, trzymając to wszystko w tajemnicy. I jeden czołg, który jakimś cudem zniknął, choć alchemik twierdzi, że do tego nie doszło. Po prostu stał się niewidzialny po wsmarowaniu w niego przygotowanej maści.

– Alchemika zamknęli w więzieniu, sir, do czasu, aż nie zaprowadzi tu dawnego porządku. Choć on sam twierdzi, że to niemożliwe. Czołgu jak nie było, tak nie ma, a martwi żołnierze spędzili dzień w towarzystwie żywych. Urządzili zabawę w sali klubowej. Dowódcy meldują, że tych martwych można wykorzystać w walce. Nie ima się ich żadna kula, sir. Cóż, przynajmniej do czasu, aż sami nie zechcą umrzeć.

– Czy podwójny agent, którego pan zastrzelił, nie twierdził tego samego? – zapytała pani Halinka – że w ich wojsku służy alchemik, który ożywia trupy, ukrywa czołgi i tworzy niezwykłe armie?

– Czy to znaczy, że my nie wygramy tego powstania, sir? I trzeba będzie dokonać podziału terenów między Polskę a Niemcy? – pytał adiutant.

– Nawet, jeśli do tego dojdzie – odezwał się Wojciech Korfanty, zaskakując wszystkich obecnych swoim nagłym wejściem. – To wszystko będzie na korzyść Polski. Już ja się o to postaram. A naszą i ich tajemnicę wezmę ze sobą do grobu. – I dotrzymał obietnicy.



Marcowe flirty, „Naokoło Świata” 1930, nr 72, s. 57.
Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

WYRÓŻNIENIA

I PIOTR WOJNAROWICZ

OSTATNI TOR

Terkot karabinów maszynowych umilkł niedługo po tym, gdy Młody wskoczył do prowizorycznego okopu tuż koło Janka. Ów odetchnął z ulgą widząc, że przerażony szeregowy nie ma nawet zadraśnięcia.

– Melduj – rzucił surowo, okraszając jednak warknięcie rozkazu uśmiechem mającym zachęcić młodego Podlewskiego do spokojnej analizy szaleńczego zwiadu aż do drugiej ochotniczej enklawy po wschodniej stronie torów.

– Melduję panie poruczniku, że oddział sierżanta Grodeckiego ma, pozwolę sobie sierżanta zacytować, przesrane, tak jak my. Siedmiu sprawnych, trzech ciężko i dwóch lekko ranny, trzech zabitych. Amunicja się kończy, opatrunki już się skończyły. Niemce kładą na nich ogień z dwóch wzgórz, w tym z jednego tego samego co na nas. Bez posiłków długo się nie utrzymają, psia ich mać.

Janek zmełł w ustach przekleństwo, popatrzył kątem oka na to co zostało z jego oddziału i zaczął w myślach rozważać możliwości. Niestety nie miał ich za wiele. Otoczeni z trzech stron, z tyłu woda, torów nie ma jak przekroczyć, żeby połączyć się z śląskimi partyzantami, wróg wygodnie rozłożony na wzgórzach za torami. Z amunicją i opatrunkami podobnie jak u Grodeckiego. Łączności brak, by wezwać posiłki, zresztą jakich posiłków ich poobijany oddziałek mógł oczekiwać? Powstańcy się nie przebijają przez silne zgrupowanie Freikorpsu, a reszta ochotników została hen za rzeką. Są tory, ale przecież „Zygmunt Powstaniec” i „Nowak” pojechały w stronę Zębówic.

Poddać się szkopom? Porucznik Jan Skorczyński nie chciał by ta myśl choć na moment zagościła w jego umyśle, ale zdawał sobie sprawę, że prędzej, czy później będzie musiał to rozważyć. Nie chciał zawieść swojego oddziału ochotników, nie chciał patrzeć w oczy zarówno starym wiarusom, jak i tym młodym, jak szeregowy Podlewski, który ochotnikiem został narażając się na gniew ojca i rozpacz matki.

Grześ Podlewski, bo Grzegorzem nikt go nazywać nie potrafił. Żywe srebro, drobny, wiecznie roześmiany i starający się humorem i odwagą zamaskować swoją posturę upodabniając go raczej do panienki z pensji, niż do żołnierza Rzeczypospolitej. Grześ, który jest ostatnim z żyjących synów drobnej, schłopiałej szlachty z pogranicza Mazowsza i Podlasia. Najstarszy Benedykt zginął jeszcze pod Tannenbergiem, gdy niemiecki pocisk armatni zrobił z niego i jego konia mielonkę. Młodszy, ranny po odwrocie spod Kijowa, trafił do niewoli, ale został zadżgany przez pijanego kałmuka, o czym Podlewscy dowiedzieli się od cudem ocalałego dzięki ucieczce, syna Wronieckich z sąsiedniego powiatu. I teraz Grześ, nieszczęśliwy, że nie mógł bić bolszewika, bo już ojciec dopilnował, żeby żadne „przymknięcie oka na wiek” przez komisję poborową miejsca nie miało, miał dokonać żywota, bądź dostać się do niewoli, tu, na odległej śląskiej ziemi.

Zaczynało zmierzchać, ciszę przeływały tylko rzadkie trele wystraszonych ptaków i pojękiwania ciężko rannych towarzyszy broni. Janek wiedział, że każdy z nich świadomie podjął się uczestnictwa w oddziałach ochotniczych, które de iure nie miały wiele wspólnego z armią ojczyzny, ale de facto były oddziałami WP pragnącymi iść na pomoc braciom-Ślązakom, którzy po raz trzeci chwycili za broń, po tym jak niemiecki terror i oszustwa podczas plebiscytu oraz działania spolegliwej wobec nich Komisji Miedzysojuszniczej oddały gros Górnego Śląska państwu niemieckiemu. Powierzeni jego dowództwu żołnierze gotowi byli oddać wszystko co najcenniejsze by podjąć trud wsparcia walki o granice Ojczyzny.

Zdawało się już, że to ostatnie promienie słońca padają na orzelki na czapkach żołnierzy i wieczór utuli wzgórze, rzekę i tory kołdrą czerni, dając wytchnienie i nadzieję. Rozterkotały się ponownie niemieckie karabiny maszynowe, a ze wzgórza powoli zaczęły ruszać w ich stronę sylwetki freikorpsowców. Przyciśnięci przez ogień maszynowy Polacy nie mogli zbyt wiele zrobić, paru zaczęło na

ślepo strzelać w stronę Niemców, nie czyniąc jednak im żadnej szkody. Janek sam dwa razy strzelił, ale nie uważał jakiegokolwiek efektu. To koniec, pomyślał, gdy szkopy zbliżały się powoli, ale nieuchronnie tyralierą.

Jeszcze jeden odwrót i wiara, że ciemność pozwoli choć nielicznym uratować się w nurcie rzeki, czy też zatknięcie białej chusteczki na karabinie i wymachiwanie nim, modląc się, by plotki o okrucieństwach Freikorpsu wobec jeńców były stanowczo przesadzane? Co robić?

Usłyszał to pierwszy. Wokół „maszyny” pruły bez ustanku, by Polacy nie mogli podnieść głowy bez ryzyka jej utraty. Do jego uszu zaczął docierać inny dźwięk, intensywny i z każdą chwilą głośniejszy. To niemożliwe – pomyślał – tu nadjeżdża pociąg! Po kilku momentach zorientował się, że zarówno jego podwładni, jak i zmierzający w ich kierunku Niemcy stanęli, gdy zdali sobie sprawę z tego co to za głośny dźwięk i co oznacza. Szwaby, którzy zostali na wzgórzach przy gniazdach karabinów, przerwali ostrzał czekając na rozwój sytuacji.

Szarość ledwie rozpoczętego wieczoru rozdarta została czernią stalowego kolosa który nieśpiesznie, przy oghuszającym huku silnika parowego i pisku hamulców wtoczył się na pole potyczki rozgraniczając swoim cielskiem Polaków od Niemców. Ze wzgórz rozległy się pojedyncze okrzyki radości, freikorpczycy bowiem przekonani byli, iż oto przybył jeden z niemieckich pociągów, by pomóc im w dziele zagłady nielicznych oddziałków znieprawionych Słowian. Po chwili owe okrzyki umilkły ustępując wszechobecnym „was is das?”.

Janek podniósł głowę, gdy tylko przestały mu nad nią świstać kule. Jego oczom ukazała się w półmroku lokomotywa jakiej jeszcze nie widział. Masywniejsza niż znane mu modele i o kształtach przypominających raczej futurystyczne wizje ilustratorów gazet. Za nią ciągnął się sznur wagonów najeżonych lufami dział i karabinów. Nie było widać jednak żadnego załoganta tego mrocznego monstrum, które z całą pewnością, po krótkim liczeniu wagonów i luf, było w tej chwili najpotężniejszą jednostką pancerną na całym Śląsku, jeśli nie w tej części Europy.

To co zdarzyło się po chwili, sprawiło, iż porucznik, a zapewne każdy kto spoglądał na pancerny pociąg również, przetarł oczy myśląc, że ma

zwidy. Na burtach wszystkich widocznych wagonów dosłownie „wykwitły” gorejące ognistym blaskiem niczym okienka do piekła, tarcze herbowe, czerwone, z dawnym orłem Rzeczypospolitej na nich. Ułamek sekundy później, rozpoczęła się kanonada i dosłownie wszystkie lufy tajemniczej pancерnej jednostki plunęły ogniem. Uczyniły to jednak tylko w stronę niemiecką, bowiem te, które były skierowane na wschód zniknęły, jakby stworzone były nie ze stali, lecz z dymu.

Odgłosy zdziwienia wśród rozproszonych piechurów oraz obsad karabinów maszynowych na wzgórzach bardzo szybko przerodziły się w mieszaninę okrzyków bólu i przerażenia, gdy pociski dział oraz salwy karabinów zaczęły taniec śmierci wśród bojowników Freikorpsu. Janek zamarł na czas trwania kanonady i do końca życia nie miał pojęcia czy trwała ona minutę, kwadrans, czy godzinę. Nagle wszystko umilkło. Porucznik Skorczyński zorientował się, że broń pancernego kolosa zamilkła, a on sam zaczął prześwitywać. W ułamku sekundy zdało mu się, że widzi jakąś ciemną, przeraźliwie chudą sylwetkę w oknie kabiny parowozu, ale przecież było już ciemno, a jedyne źródła światła stanowiły płonące pozycje strzeleckie Niemców na wzgórzu. Pociąg tak jak pojawił się w gwizdzie i huku, tak zniknął w całkowitej ciszy, jakby był tylko snem skazanego na śmierć żołnierza.

Następnego dnia na wzgórzu rozpostarła się polska flaga i została tam aż do września trzydziestego dziewiętego roku.



„Naokoło Świata” 1932, nr 102, s. 34. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

LITERACKIE

II JERZY WOLF

O północy, w cieniu opuszczonej fabryki, Wojciech Korfanty staje naprzeciwko niemieckich magów. Ich oczy płoną czerwienią, a zaklęcia, które wypowiadają, są tak mroczne, że powietrze wokół nich drży od niewidzialnej, złowrogiej energii. Korfanty zaciska pięści, czując jak wzbiera w nim gniew. Wie, że Niemcy posunęli się do manipulacji, używając magii, by zafałszować wynik plebiscytu. To był dla nich jedyny sposób, aby osłabić ducha walki Ślązaków oraz zmusić ich do przyjęcia jarzma spod znaku czarnego orła. Korfanty nie zamierza jednak ustąpić. Z determinacją w oczach sięga po drzemiacą w jego żyłach pradawną moc – dziedzictwo przodków, którzy od wieków walczyli o wolność tej ziemi. Błękitna poświata otacza jego dłonie, a powietrze wokół niego zaczyna wibrować od energii.

– W imię wolności Śląska, nie pozwólmy, by ci, którzy posługują się czarną magią, wciąż władali naszą ziemią! – woła Korfanty z determinacją, dodając otuchy swoim towarzyszom.

Niemieccy magowie, z pogardą w oczach rzucają pierwsze zaklęcie

– Eisfesseln!

Ich głosy rozbrzmiewają echem pomiędzy murami fabryki, a zimne wichry zaczynają owijać się wokół nóg polskich magów, powoli, niebłaganie wspinając się coraz wyżej, mroząc krew w żyłach. W odpowiedzi na niemieckie zaklęcie, polscy magowie odpowiadają czarem Żar Huty. Pełne mocy słowa wprawiają powietrze w drżenie. Temperatura wokół Korfanteo oraz jego towarzyszy zaczyna rosnać, rozpraszając lodowate kajdany. Magia żaru i niezłomnego ducha dodaje im sił i determinacji w walce o słuszną sprawę. Korfanty, stojąc na czele, wznosi ręce, a jego oczy płoną żywym ogniem – nie na darmo nazywano go iskrą, która wzniciła powstanie.

Jednak niemieccy magowie nie zamierzają się poddawać. Ich lider, pokryty bliznami kapitan Freikorpsu, z przerażającym uśmiechem wypowiada zaklęcie, które przeraża nawet najodważniejszych:

– Dunkelheit Griff!

W jednej chwili mrok pogłębił się, jakby ciemność wypłynęła szeroką strugą z wnętrza opuszczonej fabryki.

Polscy magowie słabną. Jeden z nich upada bez tchu, zaraz po nim drugi. Korfanty zмага się z falą słabości, czuje jak plugawy urok wysysa siły z jego ciała, dławi płonący w nim ogień. Pozostali polscy magowie chwieją się, ich różdżki drżą. Cienie owijają się wokół nich niczym lepkie macki, grożąc pochłonięciem w nieskończoną czerń. Kolejni padają na ziemię.

– Nie poddawajcie się! – wycodził Korfanty przez zaciśnięte zęby. Sam jego głos sprawia, że cienie nieco rzędzą. – Wyższa siła stoi po naszej stronie! Nasza wiara jest silniejsza niż ich plugawe sztuczki!

Zbiera resztki sił i unosi otwartą dłoń, szepce starożytne słowa mocy. Jasne światło łśni na końcówkach palców, niczym ogniki zniczy pośród nocy zadusznej. Polscy magowie podchwytywają zaklęcie, ich głosy łączą się w jeden potężny chór:

– Światłość Wiekuista!

– Niechaj im świeci – dokończył ponuro Korfanty, zaciskając palce w pięść.

Oślepiający blask przeszywa ciemność niczym włócznia. Cienie wyją i cofają się, jakby palone żywym ogniem. Niemieccy magowie zasłaniają oczy, krzywiąc się z bólu. Kilku z nich pada na kolana, ślepych i bezbronnych. Jednak ich kapitan nie zamierza się poddać. Z wściekłym ry-

kiem, wyciąga przed siebie ramiona i grzmi:

– Schatten Armee, erhebe dich!

Cienie zaczynają się burzyć niczym morze podczas sztormu, ciemne fale wzbierają i opadają w chaotycznym tańcu. Z ich nieprzeniknionej głębi wynurzają się mroczne kształty – cienie sylwetki niemieckich żołnierzy, ledwo odcinające się od ciemności, która ich zrodziła. Ich ślepie płoną upiornym, nienaturalnym światłem, niczym rozżarzone węgle w pustych oczodołach. Powolnym, złowieszczyym krokiem zaczynają maszerować naprzód, jakby ciągnięci niewidzialną siłą. Ich ciężkie buty dudnią ponuro w martwej ciszy, a każdy krok wstrząsa splugawioną przez magię ziemią.

Polacy zamierają. Przerazenie ścisła ich serca w lodowatym uścisku. Jak mają walczyć z armią, która nie jest z tego świata? Korfanty jednak nie traci nadziei. Wie, że prawdziwa siła tkwi w jedności i woli walki.

– Nie bójcie się – mówi ze spokojem. – To tylko iluzje, cienie przeszłości! Kłamstwa, które rozproszy... – Podnosi różdżkę i celuje nią w mroczne sylwetki – Ostatnia Spowiedź.

Strumienie białego ognia światła strzelają z ich różdżek, przeszywając szeregi cienistych żołnierzy. Nagle pośród nocy słychać tętent widmowych kopyt, a fala światła przebija się przez

niemieckich żołnierzy, przybierając formę skrzydlatych jeźdźców z lancami w dłoniach. Sylwetki ożywieńców falują i zaczynają się rozwiewać, jakby zdmuchnięte potężnym wiatrem. Niemieccy magowie patrzą na to z niedowierzaniem i strachem.

– Unmöglich! – wrzeszczy ich kapitan. – Jak to możli...

Korfanty nie daje mu dokończyć. Celuje różdżką prosto w jego pierś i ryczy, a echo powtarza każdą jego sylabę.

– Śląsk będzie wolny, a ty i twoi popelnicy zapłacicie za swoje zbrodnie! – Korfanty rysuje w powietrzu skomplikowany wzór. Szepce słowa starożytnej inkantacji. – Sąd Ostateczny!

Rozbłysk światła zamienia noc w dzień, jakby słońce zajaśniało pomiędzy odrapanymi murami fabryki. Niemieccy magowie krzyczą w agonii, ich ciała wiją się i miotają ogarnięci płomiennym blaskiem. Jeden po drugim padają na ziemię, ich oczy wyzute z życia i puste. Światło wypala resztki mrocznej magii, zamienia ciała w sterły dymiący popioł, z których sterczą gdzieśgdzie Żelazne Krzyże.

Korfanty stoi wyprostowany pośród pobojuwiska, jego różdżka łśni pozostałością potężnego blasku. Jego twarz, choć zmęczona, rozpromienia się tryumfem.

– To koniec ich tyranii – powiedział z niezachwianą pewnością

**TERAZ,
TO MIESZKAŃCY
ŚLĄSKA
ZADECYDUJĄ
O SWOIM LOSIE.
NIECH ŻYJE
WOLNY ŚLĄSK!
NIECH ŻYJE POLSKA!**



Wkroczenie wojsk polskich na Górną Śląsk. Katowice, 20 czerwca 1922 r. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

III

MARCIN HALSKI

DUCH WOJNY

– *Przykro mi.*

Głos, a raczej słowa nie wypowiedziane przez nikogo odbiły się w umyśle chłopaka. Rozchylił szeroko powieki i podskoczył na łóżku. Miewał już dziwne sny, ale tym razem miał nieodparte wrażenie, że to nie była zwykła mara.

Potrząsnął głową, a końcówka przydługawej grzywki wpadła mu do oka. Syknął zdegustowany, bo klejąc się od niemycia strąki ukłułynicznym igła. Zanim jeszcze dotknął stopami podłogi, przypomniał sobie, że nie szorował porządnie włosów już od kilku dni. W domu nigdy się nie przelewało, ale ojciec pracujący w kopalni zapewniał najpotrzebniejsze rzeczy. W każdym razie tak było kiedyś, bo aktualnie zarząd Myslovitzgrube wstrzymywał wypłaty wynagrodzeń, a dla rodziny, która żyła od wypłaty do wypłaty, oznaczało to wiele wyrzeczeń. Dość drogi szampon należał do jednego z nich. Gorzej, że od wczoraj nie mieli nic do jedzenia.

Na szczęście dziś nadszedł dzień, kiedy górnicy mieli zgłosić się po wypłaty. Nastolatek na samą myśl o tym, że atmosfera w domu wreszcie się polepszy, poczuł ulgę. Pal lichu jego higienę włosów– brak pieniędzy i widmo głodu zazwyczaj doprowadzały do kłótni kochających się rodziców, a dla wrażliwego syna oznaczało to nieprzebraną falę wyrzutów sumienia.

Otrząsnął się z resztek przerażającego snu i już miał stanąć na nogach, gdy poczuł zawroty głowy. Zrobiło mu się słabo, a świat dookoła nagle utracił kolory. Wystraszony chłopak rozejrzał się po niewielkim pokoju i ze zgrozą zdał sobie sprawę, że zarówno ściany, jak i pojedyncze meble przybrały ciemnoszarąbarwę. Skierował wzrok na półkę, na którejznajdował się jego największy skarb, i z przerażeniem odkrył, że stojący tam od miesiący jaskrawoczerwony model samolotutrzymała w rękach jakaś postać. Równie szara jak zabawka.

Mimo że musiała być zjawą, jej chude ciało poznaczone zostało ranami. Młodzieniec pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca zdał sobie sprawę, że ziejąca w policzku ducha dziura prawdopodobnie powstała od pocisku, widział już takie obrażanie kilka lat temu. Zanim jednak zdążył cokolwiek więcej pomyśleć, ponownie usłyszał w głowie ten dziwny głos.

– Naprawdę jest mi przykro, ale tak musi się stać.

Kobieta, która za życia była mniej więcej w wieku jego mamy, uśmiechnęła się do niego smutno i wysunęła widmową rękę ku niemu. Strach ścisnął chłopaka za gardło, jednak ciało – wbrew temu, co podpowiadał umysł – zareagowało automatycznie. Dźwignął się z łóżka, podszedł do widziadła i odebrał swoją zabawkę.

– Bądź dzielny i sięnie bój.

Gdy samolocik znalazł się w jego dłoniach, zjawy zniknęła. Kolory powróciły do normy, tylko bliżej nieokreślony lęk pozostał, wbijając się coraz mocniej w serce młodego Ślązaka.

Nieprzebrany tłum kłębił się przed główną bramą kopalni, a niezadowolenie i złość wręcz unosiły się w powietrzu. Przyszli tu właściwie wszyscy pracownicy Myslovitzgrube wraz z rodzinami. Chłopak poznał wśród stłoczonych ludzi kilku znajomych z podwórka i od razu poczuł się lepiej. Wspomnienia porannego widziadła, które jeszcze niedawno nie pozwalało się skupić, wyparowało. Sierpniowe słońce przyjemnie grzało, a droga tutaj upłynęła mu na miłej rozmowie z ojcem. Rosły mężczyzna przez całą trasę opowiadał z dumą o swojej, jakże ważnej, pracy w chodniku, z kolei mama z uśmiechem mu przytakiwała.

Teraz niestety znowu zrobiło się nerwowo.

– Co sam się wynokwio? – zapytał jego tata stojącego obok mężczyznę.

– Ponoć chcom wpuszczać małymi grupami, besto, że dygajom, kej jest nos dużo.

–Mosz recht, niy płacom geltagu, a kożom zadupiać! Niyh się sforsztelujom, bo łobekjrzm!

Chłopak słuchał tej rozmowy jednym uchem, bo wzrokiem szukał najlepszego kumpla. Kiedy w końcu dostrzegł go kilkanaście metrów dalej, uśmiechnął się szerzej. Już miał ruszyć w tamtą stronę, gdy ponownie poczuł, że świat wiruje. Wszystko dookoła znów utraciło barwy, tymczasem pomiędzy nim

a kolegą stanęła sama co rano postać. Smutno pokręciła głową, natomiast jej usta skrzywiły się w dziwnym grymasie. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby strach na powrót sparaliżował zmysły dzieciaka.

–Wiele mogymy sam stoś?! – Jakiś mężczyzna w przepoconym ubraniu przekrzyczał zebrany tłum. – Niymogom nos tak traktować. Jak ino się tor łotworzy, włożymy wszyscy!

Wśród zebranych rozległ się dźwięk aprobaty. Nerwowa atmosfera udzielała się wszystkim.

– Słyszeliście? Włożymy. Trzymomy się razym, coby żodnymu nic się niy stało – wyszeptał przez zaciśnięte zęby ojciec. – Pokożemy Niymcom, że niy ciulomy.

Mama przytaknęła, choć brakowało w tym geście jakiejś pewności siebie. Nagle bramy się rozwarły, a wzburzony tłum ruszył do środka, ciągnąc za sobą nastolatka i jego rodzinę. Wystraszony młokos chwycił rodzicielkę za rękę i już miał się odezwać, kiedy wpadł na znajdującą się przed nim kobietę. Chciał przeprosić, ale zamarł, gdy ta odwróciła się w jego stronę.

Zarówno jej twarz, postura, jak i nawet ubranie wyglądały identycznie jak u widzianej chwilę temu zmory. Tylko zamiast śladów po pociskach na rozpromienionej twarzy widniały rumieńce. Wydawała się piękna, choć nie do końca realna.

Na dodatek najwyraźniej przyszła tu sama, bez rodziny, co samo w sobie było podejrzane.

– Uważaj na siebie – powiedziała z uśmiechem, lecz jej głos, choć z pozoru normalny, niósł za sobą zapowiedź nieszczęścia.

Chłopak stał jak wryty. Nie zdążył w żaden sposób zareagować, bo matka delikatnie, niemniej stanowczo pociągnęła go w kierunku wejścia na teren kopalni. Już miał krzyknąć, zaprotestować, kiedy poczuł zimny dotyk na ramieniu, a w jego głowie ponownie rozbrzmiał znajomy głos.

– Niestety tak musi się stać.

–HALT! – Krzyk mężczyzny w mundurze utonął w tłumie i nikt nie zareagował na jego ostrzegawczy ton.

Masa ludzi przelała się przez bramy i stłoczyła na głównym placu. Co bardziej nerwowi górnicy krzyczeli w stronę stojących po bokach niemieckich żołnierzy, domagając się natychmiastowych wypłat. Chłopak ze wszystkich sił próbował trzymać dłoń matki, ale w którymś momencie wpadł na rosnącego mężczyznę i zostali rozdzieleni. Gdy wreszcie minął górnika, nie trafił na rodzicielkę, bo zamiast niej stała tam ta dziwna postać. Skulił się wystraszony, a ona pochyliła się nad nim.Już otwarła usta, żeby coś powiedzieć, może pocieszyć, wtedy w oddali rozległ się huk.

– Strzelają!

To był ostatni dźwięk, jaki dotarł do świadomości chłopaka.Czas przyspieszył, a chwilę później twarz kobiety eksplodowała czerwienią. Jej ciało zatrzęsło się od uderzenia, a na młodzieńca trysnęła ciepła krew. Kątem oka zobaczył jeszcze rzucającego się w jego stronę ojca, kiedy poczuł mocne szarpnięcie.

Świat znowu stał się szary, a zaraz po tym zapadła ciemność.

– Czasami takie ofiary są potrzebne.

Stali, trzymając się za ręce, i patrzyli na toczącą się poniżej walkę.

Młodzi ludzie ściskali w drżących dłoniach karabiny i choć z ich oczu bił strach, parli do przodu. Ostrzeliwali niemiecki oddział z zażartością, nie zważając na świstające dookoła kule.

– Czyli nie umarłem nadaremno? – zapytał chłopak i odruchowo dotknął ziejącej w jego piersi dziury po kuli.

– Nie – odparła kobieta, a na jej przestrzelonej twarzy pojawił się uśmiech. – Zginąłeś, ale dzięki temu dałeś im siłę do walki o swoje.

– Wygrają?

Pytanie zawisło w powietrzu. Szary świat zaczął powoli oblewać mrok, odgłosy walk stały się już tylko ledwo słyszalnym tłem. Gdy chłopak pomyślał, że za chwilę ponownie pochłonie go czerń, pomiędzy ołowianymi chmurami pojawił się sноп światła.

– Kiedyś na pewno – odpowiedziała kobieta, patrząc, jak obejmuje go jasny blask. – Ale przede mną jeszcze dużo pracy.

Umierał.

Nikt nie musiał mu tego mówić, sugerować – po prostu to wiedział.

Leżał w czerni, w mroku tak gęstym, jak bywa tylko w tej porze pomiędzy północą a nastaniem świtu, kiedy ludzi dopada największy smutek, oddychał wonią chloru, środków odkażających i krochmalu i wątpił, że doczeka blasku dnia. Nieważne.

Nie próbował się już przekreślić, za bardzo wszystko go bolało. Leżał i czekał. Ciemność i zapachy napierały na niego, dusiły. Odliczał czas, którego już nawet nie pojmował i próbował wypatrzyć cokolwiek wśród nocy, jakieś szczegóły szpitalnej sali, może błysk butelki z kroplówką, może refleks światła księżycy odbity gdzieś w farbie ściany, która za dnia miała pozornie uspokajającą barwę, barwę sterylną i obcą, choć znajomą. Na próżno.

Umierał, wiedział to odkąd wybudził się po operacji, a nawet wcześniej, kiedy tak szybko zwolnili go z więzienia, byle nie zmarł w jego murach. Może nawet wiedział już wcześniej, gdy niemal codziennie stawiano mu nową diagnozę, doskonale wiedząc i tak, co właściwie mu dolega. Ale wiedział też, że umiera nierozumiany i niezrozumiany pozostanie.

Leżał więc i myślał, jakby myślenie mogło pomóc mu wypełnić pustkę między chwilą obecną a ostatnim oddechem. Leżał i wspominał, jakby wspomnienia były w stanie pozwolić mu wyrwać się z terażniejszości i zapomnieć choć na chwilę o cierpieniu.

Myślał o ludziach, których już nie było i tych, którzy dopiero nadejdą. O tym, co czeka ten kraj, do którego właśnie przez jego zbliżający się tragiczny los powrócił i co czeka jego samego o wiele wcześniej.

Wykrochmalone prześcieradło drapało skórę, drażniło. Czuł zapach środków do dezynfekcji i krwi.

I wspominał krew, która wypływała spod leśnej ściółki, kiedy szedł przed nadodrzański las. Stopy w przepoconych oficerkach stawiał na mchu, czuł jak ten ugina się, buty zapadają się w zieleni, a potem zieleni staje się czerwona od posoki wszystkich tych, którzy tu zginęli. Tej samej posoki, która piasek zmieniała w rdzawe błoto i zaróżowiwała wodę w rzece. Krew młodych poległych żołnierzy i krew pięknych polskich koni.

Szedł przez las i patrzył na powstańców, na czele których stanął, chociaż nie wierzył w szanse na zwycięstwo. Nie wierzył nawet, że cała ta walka z Niemcami o przyłączenie Górnego Śląska do Polski ma jakikolwiek sens.

Spoglądał na szare twarze szarych ludzi, twarze brudne i wyprane z barw, jak brudne i wyprane z barw były ich mundury. Patrzył w oczy, które widziały zbyt wiele i bały się jednocześnie, że już za mało rzeczy zdążą w tym życiu zobaczyć. Patrzył na spierzchnięte usta spragnione czegoś więcej, niż wojskowe racje i na twarze tak stare, mimo młodego wieku.

I wiedział, że nie rozumieją go. Że nic nie rozumieją. Że nic nie wiedzą. Ginę i nie mają pojęcia. Ale może to i dobrze. Oni przynajmniej nie widzieli tego, co on, nie musieli patrzeć w tamto oblicze, nie musieli bać się bardziej, niż człowiek boi się wojny i śmierci.

To było wtedy, prawie dwie dekady temu, zapach lasu, zapach igieł sosnowych i mchu pomieszany z wonią rozlanej krwi i smrodem śmierci, bo nikt na wojnie nie umiera czysty i pachnący. Teraz była tylko ta szpitalna sala z zaciągniętymi zasłonami w oknach i ciemność pachnąca chemikaliami. Leżał niezdolny poruszyć się, na granicy życia i śmierci i wspominał zieleni.

Bo to zieleni go zabijała.

Spróbował głębiej odetchnąć, brakowało mu powietrza, dusił się, jednak zamiast zaczerpnąć tchu, niemal rozkaszał się z bólu i wysiłku, ale kaszleć też nie był w stanie.

Miał zapalenie opłucnej, tak twierdzili lekarze. Ci sami lekarze twierdzili, że ma uszkodzenie wątroby i zapalenie pęcherzyka żółciowego, że męczy go anemia, na którą nie mogą nic poradzić oraz nadciśnienie tętnicze, którego nie są w stanie uregulować. Mówili, że to, co go wykańcza to wina papierosów, które w swoim życiu wypalił. I wina pobytu w więzieniu, w pomalowanej na zielono celi, z której wyrzucono go zanim skonał, żeby jego śmierć nie podburzyła ludzi bardziej, niż zrobiło to jego aresztowanie.

Czas płynął leniwie. Sekunda za sekundą, minuta za minutą, chwile odliczane do momentu śmierci, który nie widział dokładnie, kiedy nastąpi. Kiedy organizm odmówi mu posłuszeństwa.

Gdzieś w mroku, gdzieś po drugiej stronie nocy ściany szpitala św. Józefa były zielone, zielone były za dnia, ale nie o tej porze. O tej porze wszystko było jak smoła. Jak śmierć. Zieleni była, jak śmierć, wiedział o tym. Widział to.

IV

MICHAŁ LIPKA

WSPOMNIENIE ZIELENI

Tamtego dnia, krótko po tym, jak stanął na czele powstania, szedł przez las, jak miał w zwyczaju. Mały prywatny rytuał. Wieczorny spacer po miejscu, w którym nie miało prawa kryć się nic, poza paroma dzikimi zwierzętami i ciszą pory wieńczącej dzień. Miękką ściółka pod stopami, wilgotna po majowych deszczach, chłodny przygaszony błękit nieba nad głową, półmrok między konarami.

Palcami zmierzwił wąsy. Zaciągnął się świeżym powietrzem.

Wszedł w głąb, zszedł ze ścieżki, wślizgnął się między drzewa i krzewy, jak człowiek tknięty przecuciem. Ale szedł spokojnie, jak idzie się na spacer, w coraz bardziej gęstniejącej szarówce. Szarość przechodziła w czerń, kiedy dostrzegł w dali jakiś migoczący blask.

Podszedł ostrożnie, w tych czasach, kiedy pamiętało się świeżo zagojoną, ale nadal rozdrapywaną ranę wojny, w czasach powstań i walki o swoje, wszystko robiło się ostrożnie.

I wtedy to zobaczył.

To byli Niemcy. Kilku niemieckich wojskowych, szarość i zieleni mundurów, szorstki, ostry język. Stali wokół ogniska, wsypywali coś w płomienie, w dłoniach trzymali kamienie z wrytymi znakami, jeden z nich, najwyższy rangą czytał z księgi w mowie, do jakiej człowiek nie był stworzony.

A potem ogień zgaśł. Zgaśł wieczór. W kompletnej ciemności coś się jednak poruszyło. Coś wielkiego, bezkształtnego, coś ciemniejszego niż mrok, chociaż wyraźnie zielonej barwy, jakby ożyła najciemniejsza część lasu.

Coś, co nie miało oczu, a jednak spojrzało na przybysza. Spojrzało w niego, przez niego i dalej, aż we wnętrzu człowieka jakaś jego część, która nawet nie powinna istnieć, szarpnęła się i skrzyła i...

A teraz leżał tu, niemal dwadzieścia lat później, umierał, świadomy, że nie doczeka światu i wiedział, że to, przed czym uciekł wtedy, ta zieleni, która była czarniejsza niż noc, wreszcie go dopadła. Goniła go całe życie, nie spieszyła się, miała czas, jakby na coś czekała – i chyba wiedział na co – a teraz była tu.

Kryła się w szarości niemieckich mundurów, kryła w nasiąkniętych krwią lasach i w celi więzienia – niesławnego Pawiaka – pomalowanej na zielono farbą z arszenikiem, który miał go powoli truć. Ale to nie arszenik go zabijał, chociaż zmienił jego wątrobę w jedną wielką owrzodzoną ranę. To była ta zieleni, która tak go wtedy przeraziła. To przez nią zrozumiał, że powstanie nie ma szans, bo jeśli Niemcy będą dysponować czymś takim, będą mogli zaprzęgnąć do pomocy takie moce... Nawet nie był w stanie o tym myśleć, ogarnąć rozumem.

Ludzie mu to wytykali, ale co miał zrobić, skoro to widział? Skoro wiedział? Mógł chociaż stanąć na czele powstania i zrobić wszystko, by ograniczyć straty, ocalić ilu tylko zdoła. Zrobić... cokolwiek.

I to właśnie robił.

A teraz umierał. Wiedział to, nie tylko czuł, ale był pewien. Sześć dni temu przeszedł operację, która nic nie dała. Miał sześćdziesiąt sześć lat. Trzy szóstki. To nie mógł być przypadek.

Jeszcze dziś wieczorne wydanie gazet poda wieść, że umarł Wojciech Korfanty, polityk, mąż stanu, przywódca powstania. Ale on tego nie doczeka. Nie zobaczy świtu. Niczego.

Nieważne. Oby tylko nigdy nie zobaczył już tej zieleni.

DNI FANTASTYKI

WROCŁAW




20-22 SIERPNIA 2024  **MIĘDZYSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. T. RÓŻEWICZA WE WROCŁAWIU**

FILIA NR 22, UL. CHOCIEBUSKA 8-10 // STREFA DLA DZIECI
FILIA 44, UL. POWSTAŃCÓW ŚL. 210 // WARSZTATY KOMIKSOWE
FILIA 58 - MEDIATEKA, PLAC TEATRALNY 5 // PRELEKCJE

23-25 SIERPNIA 2024
ŁUKASIEWICZ – PORT, UL. STABŁOWICKA 147, WROCŁAW

SPOTKANIA Z TWÓRCAMI // PRELEKCJE // PANELE DYSKUSYJNE
WARSZTATY // KONKURS COSPLAY // KONCERTY
FANTASTYKA OPEN // STREFA TARGOWA

DNIFANTASTYKI.PL

GŁÓWNY ORGANIZATOR:  **ZAMEK**
Ośrodek Postaw Twórczych
Wrocław
WSPÓŁORGANIZATORZY:  **GILDIA ORGANIZATORÓW**
MBP
PARTNER:  **ŁUKASIEWICZ**

DNI FANTASTYKI WE WROCŁAWIU

To najstarszy dolnośląski festiwal, poświęcony szeroko pojętej fantastyce. Obejmuje tematyką literaturę, film, komiks i ilustrację, popkulturę, mangę i anime oraz gry – planszowe i komputerowe.

Dni Fantastyki corocznie łączą zarówno fanów, jak i twórców fantastyki – pisarzy, aktorów, rysowników komiksowych czy reżyserów.

ORGANIZATORZY

Dni Fantastyki to miejsce, w którym integruje się społeczność fanów fantastyki. Główny organizator to Ośrodek Postaw Twórczych Zamek. Współorganizatorem jest zrzeszające wolontariuszy Stowarzyszenie Gildia Organizatorów. W 2023 roku do grona współorganizatorów dołączyła Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Różewicza we Wrocławiu.

Z każdym rokiem zwiększa się też liczba odwiedzających – w 2023 było ich ponad 11 tys. Mimo tego DFI pozostają wciąż wydarzeniem niekomercyjnym, tworzonym z pasją przez fanów, dla fanów. To bez wątpienia jedno z tych wydarzeń, które na długo pozostają w pamięci.

MOTYW PRZEWODNI

W tym roku motywem przewodnim festiwalu są „Podróże w nieznane”, czyli czas i przestrzeń, odkrywanie kosmosu i nowych światów – również fantastycznych, nowe horyzonty, przekraczanie różnych granic, ale też odkrywanie siebie.

Nie będzie to jednak jedyny motyw – pojawi się kilka linii tematycznych: Fantastyczni Towarzysze; Drzewo Życia; Tropami Fantastyki; Ja, Twórca; Technologie i Ludzie; Wieloświat.

Oprócz tego, będzie można zanurzyć się w odmętach bloków programowych takich jak: literatura; nauka; gry i multimedia; popkultura; filmy i seriale; manga i anime; komiks i ilustracja.

KILKA SŁÓW O BIAŁYM KRUKU

Historia wydawnictw fanowskich i fanzinów w Polsce jest długa i bogata w wiele wartościowych pozycji, które wpłynęły na rozwój fantastyki w naszym kraju. Oczywiście, jak to bywa z takimi projektami, nic nie trwa wiecznie, niektóre działają krócej, inne dłużej. Mimo tego są dowodem siły i sprawczości ruchu fanowskiego.

Magazyn Biały Kruk również jest projektem typowo fanowskim. Czasopismo swoją premierę miało piętnastego września dwa tysiące siedemnastego roku i od tamtego czasu nieprzerwanie co kwartał wychodzi nowy numer. Do tej pory czasopismo opublikowało dwadzieścia siedem numerów plus dwa specjalne, zawierających łącznie 216 opowiadań.

Czasopismo powstało z myślą o stworzeniu platformy do publikacji dla pisarzy oraz miejsca do próbowania swoich sił i rozwoju warsztatu pisarskiego.

Każdy numer czasopisma ma swój temat przewodni. Dla przykładu w 2023 roku były to: przepowiednie i proroctwa, PRL w fantastyce, kruki i śmierć na śmieszno (czarny humor). Czasopismo na swojej stronie facebook zawsze w listopadzie publikuje i wyróżnia post z zapowiedzią tematów na następny rok, dzięki czemu jest czas na przygotowanie utworów. Taka różnorodność pozwala autorom, zwłaszcza tym rozwijającym swój warsztat, spróbować sił w konwencji, o której wcześniej nie myśleli, co bywa zarówno ciekawym wyzwaniem, jak i pisarską przygodą.

Magazyn Biały Kruk może również pochwalić się sukcesami w postaci nominacji. Dwa lata z rzędu (za 2021 i 2022 rok) opublikowane w czasopiśmie opowiadania otrzymały nominacje do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla. Natomiast numer 24 – PRL w fantastyce został nominowany w kategorii Best Fanzine do nagrody European Science Fiction Society.

Zachęcamy do zajrzenia zarówno na naszą stronę internetową, gdzie znajdziecie wszystkie dotychczasowe numery: www.magazyn.bialykruk.org

Oraz nasza strona Facebook: <https://www.facebook.com/MagazynBK>

Grzegorz Czapski

MAGAZYN BIAŁY KRUK

ISSN 2544-6304 NR27 styczeń – marzec 2024

MAGIA I MIECZ

OPOWIADANIA

MICHAŁ LIPKA ISTNIAŁA KIEDYŚ KRAINA BAJEK
MARTA CHOŃSKA-MEYNARCZYK WIELOSKRZYDŁY
KATARZYNA PODSTAWEK, KATARZYNA RUTOWSKA MAGICZNY DZBAN
JAKUB WCZASEK ŻOŁNIERZE FORTUNY. WIEŻA ANSALEMIEGO
MICHAŁ RADTKE PASZCZA SMOKA
SYLWIA DEB POJEDYNEK

POWIEŚCI W ODCINKACH

MARLENA URBANIAK PARANOIDALNA XIII
OLAF PAJĄCZKOWSKI PAJĘCZYNA XIV



WYDAWCA: Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfanteo. DYREKTOR: Dorota Pociask-Frącek

AUTORZY TEKSTÓW i GRAFIK: Bartłomiej Ogonowski, Jerzy Wolf, Lisiol, Przemysław Karbowski, Łukasz Dubaniowski, Dominika Panaszek, Patrycja Paliczka, Piotr Wojnarowicz, Marcin Halski, Michał Lipka

SKŁAD I ŁAMANIE: Katarzyna Kiołbasa.

ISBN 978-83-67490-37-5. Nakład: 2.000 egz.